

krążą krople krwi obcej, w obydwu uwierają i popiskują zaskakująco inne idee. Nawet Hermes (zwany przez starożytnych Dobrym Pasterzem) jest nie ten sam. Młodzieńczy i kojący patron kupców, złodziei i dusz z Bliskiego Wschodu, na Śląsku okazuje się aniołem, potem alchemikiem, potem znów putto, upupionym aniołkiem jak w barokowej eksplozji Wambierzyc, i niezadługo tetrycznym patronem umysłów, poszukujących w imię Rozumu zamkniętego systemu, szczerze zamkniętego, pełnego pychy Leibniza. Tu, na Śląsku, mędrzec z Efezu zamienia się w intelektualistę.

A jednak w jednym i drugim świecie góry wydzwignęło pożądanie. Sam Eros! Sudecki mit powiada o nieodwzajemnionej miłości demona do księżniczki świdnickiej: kiedy mu uciekła, z wściekłości ciskał głazami, wydrapywał pazurami kanion Kamieńczyka oraz to, co my dzisiaj określamy jako... runy ślązańskie. Zamorskim dziwiom rzadziej udawało się umknąć. Gniły jak Persefona w trupich objęciach Hadesa lub, owszem, ostawały się niepokalanymi Theotokai, by, odetchnąwszy, mściwie rozszarpać dopadniętych mężczyzn. Tak czyniły menady radosne Dionizosa, tak czyniła Kybele, tak rzymska, z Frygii przywieziona, Magna Mater, wskutek czego mężczyźni stali się tutaj wobec kobiet nieufni. Skoro zwierzęce samice rozszarpały samego Zeusa? Skoro wykastrowały Adonisa i uspiły Endymiona? Mężczyźni tutaj nakładają kobietom czarczaf na cudną twarz. W opisie miłości cielesnej pająka Wolak dał wyraz podobnej trwodze. Co próbuje złagodzić: ktokolwiek uchyli zasłonę i spojrzysz w oczy, ujrzysz błysk konającej w przestrzeni Supernowej. Miłość.

Tu i tu z wiosną lub jesienią gromadnie przystają wędrownie ptaki. Na resztkach, w gruncie rzeczy, gór pierwotnych. Góry stały się kamieniołomami. Po części znikły, przestoczone w wielkomięski bruk, w granitowe fasady urzędów, w porfiry nagrobków, no i marmury, olśniewające marmury Hierapolis, Antiochii, Halikarnasu. My, jak ptaki, mijamy tu i tam mnóstwo miejsc, których świętość, magiczność, morderczość, heroiczną już do nas nie przemawia. Zreszta, turysta patrzy coraz rzadziej. Zbyt pospiesznie używa fotograficznego aparatu, zbyt wpatrzony w laptop i smartfon, zaabsorbowany posiłkami, pływaniem w odgródzonej od tubylców szkatule basenu, zakupami na koniec, podczas których oferują mu znane już marki. Inna rzecz – supermarkety po obu stronach Morza Śródziemnego miewają nazwę „Hermes”.

Wanek powiedziałby w tej ze wszech miar zabawnej sytuacji: Hermes jest bogiem-symboliem, w którym skupiają się tropy jego zamiłowań oraz skłonność do wędrowania. Emblematy Hermesa nie tylko zachęcają do rozszerzania przestrzeni, ale także spinają czas współczesny z minionym,

a więc zachęcają do zadomowienia się w kulturze dawnej, niedawnej i nadchodzącej, jako całości, bo Hermes jest nadzwyczaj pojemnym archetypem i istnieje w niezliczonych wcieleniach.

Wolak temu z całego serca przytakuje w miniaturowej „Krawędź”: *Prawie wszystko jest nieokreślone. Prawie wszystko ponad nami. Gdyby nie śpiew wiatru, skąd poznałbyś kierunek? Światło wycieka i sączy się w szarość. Wiatr kołysze bladym cieniem drzew i poszerza przestrzeń. (...) Pragnąłbyś, żeby uniosły cię spojrzenia wybranych, ich braterskie hymny? To ona [krawędź – UMB] przechowuje noc, która rozplywa się w konturze okna o świtanie. Kto ją przekroczy, kto założy pancierz? Kto przybędzie w obłoku? Na końcu tunelu rozbłyśnie wiara.*

Tytuły takie, jak Czarna dziura, jak Niepojęte przejścia, Brama, dotyczą metasensów Cezarei równie dobrze jak Jakuszczyk nad Szklarską Porębą, u zbiegu Karkonoszy i Gór Izerskich.

Są czepiane z podróży wyczuwalnie erotycznej, cały czas powiązanej z Nią, obecną bez znaczenia, czy widzialnie, czy niewidzialnie, obecną na obydwu biegunach. Może sama jest tą szczeliną? Gdyby dopuścić tę myśl, odczytałabym w strofach Wolaka zapewne więcej niż pragnie. Bo szczelina zawsze niepokoi.

Znakomite, wyciszone acz dźwięczne metafory dopełniają czytelniczej delektacji. Nie ma tu onomatopeiczności, nie można Wolaka wyśpiewać. Ale ślad faktycznie pozostaje, lekkostopy. Tak to bywa z liryką przezroczyłą.

Urszula M. Benka

Lesław Wolak, *Ślady i cenie*, Wydawnictwo Ad REM, Jelenia Góra 2015.



Rys. Barbara Medajska

Tomasz Misiewicz

Benzedryna, czyli kłamać każdy może

W przedśionku łódzkiego teatru Powszechnego mijamy ściany wytapetowane zdjęciami Konrada Swinarskiego. To dobry prognostyk przed degustacją spektaklu "Hotel Minister" Raya Cooneya (autora takich komedii jak m.in. "Mayday" czy "Okno na parlament"). I choć gatunki, jakim hołdowali obaj twórcy, odległe są diametralnie, to troskliwy patronat Swinarskiego dobrze prorokuje poziomowi sztuki Cooneya. Niestety, realia sceniczne, co łatwe do przewidzenia, nie są łaskawe dla wielbicieli kunsztu pierwszego z autorytetów teatralnych. Zasadnym jest jednak pytanie: czy sztuka zagrana w teatrze Powszechnym trzyma przynajmniej poziom właściwy produkcjom angielskiego mistrza farsy?

Kontury akcji nie są specjalnie skomplikowane. Oto w hotelu Minister zamieszkał poseł Ryszard Wolski wraz z żoną. Przyjechał na posiedzenie parlamentu. Jednak zanim zasiądzie w poselskiej ławie, chce wykorzystać fakt, że żona postanowiła wybrać się do teatru i spędzić upojny wieczór z uroczą sekretarką. Planów tych nie pochwała jego asystent Dobiesław Ryski, który obawia się skandalu, tym bardziej, że kolejnego dnia w parlamencie poddana ma zostać pod głosowanie ustawa na temat korupcji, upadku moralności i walki z pornografią. Sekretarz wykonuje polecenia szefa, poruszając lawinę nieoczekiwanych komplikacji.

Właśnie te komplikacje sprawiają, że prosta w założeniu sztuka irytuje swoją natrętną manierą polegającą na mnożeniu nieprawdopodobieństw. Dzieje się tak zapewne dlatego, iż reżyser nie chciał pozostawić widza sam na sam z pytaniem zgoła trywialnym: kiedy na scenie zacznie się rzucanie tortami? Te jednak nie są potrzebne. Gęstość infantylnych dialogów wypełnia czas spektaklu tak ściśle, że w pewnym momencie widz nie reaguje już na pointy, zwischenruffy i repliki, lecz co najwyżej na artykulację aktorską, gesty i pozy. Te zaś w żaden sposób nie wzbogacają rachitycznej materii komediowej. W dialogach zaś bryluje syndrom zapętlenia. Wiodące postaci przedstawienia, które, jak na klasyka gatunku przystało, oparte jest na nieporozumieniu sytuacyjnym, współzawodniczą w sztuce permanentnego oszukiwania swoich partnerów. By jednak czynić to wiarygodnie, kluczają w swoich zeznaniach coraz przebieglej. Przybiera to z każdym zdaniem nieznośniejszą manierę, ponieważ kolejne kłamstwo wprowadza akcję na coraz wyższe piętra absurdu. Ten zaś władza widowiskiem i merda niczym ogon psem. Kłamię minister, jego żona,

(Dokończenie na stronie 12)